Kryminalna historia Krakowa. „To mnie powieście!”

2026-07-23

Latem 1630 roku cmentarz przy kościele Mariackim stał się miejscem gwałtownej awantury. Jej uczestnikami byli krakowski rajca Krzysztof Słowikowski i szlachcic Stanisław Racibor Starczowski. Spór zakończył się procesem, który pokazał, że nawet przedstawiciel uprzywilejowanego stanu musiał liczyć się z wyrokiem miejskiego sądu.

Nie wiadomo, od czego zaczęła się kłótnia. Nie zachowały się w kronikach słowa, jakie padły między dwoma mężczyznami ani dokładny przebieg zajścia. Wiadomo jedynie, że doszło do niego na cmentarzu otaczającym kościół Mariacki – miejscu szczególnym zarówno dla mieszkańców Krakowa, jak i dla władz miasta. Według oskarżenia Stanisław Racibor Starczowski nie tylko znieważył Krzysztofa Słowikowskiego, lecz także wystąpił przeciwko niemu z bronią w ręku.

Awantura ta mogła się zakończyć pojedynkiem, jednak Krzysztof Słowikowski postanowił odwołać się do sądu miejskiego i obowiązującego prawa. Nic dziwnego. Słowikowski należał do grona najbardziej doświadczonych prawników miejskich swojej epoki. Studiował na Akademii Krakowskiej, a następnie został pisarzem Sądu Wyższego Prawa Magdeburskiego na Zamku Krakowskim – jednej z najważniejszych instytucji sądowych Rzeczypospolitej. W 1612 roku objął urząd syndyka Krakowa, czyli najważniejszego prawnika reprezentującego miasto w sporach i dbającego o jego przywileje. Dwa lata później został rajcą miejskim. W chwili konfliktu ze Starczowskim miał już za sobą wieloletnią służbę dla magistratu i należał do ścisłego grona osób odpowiedzialnych za funkcjonowanie miejskiego wymiaru sprawiedliwości.

Kilka dni później obaj adwersarze spotkali się ponownie.

Starczowski, o którym nie wiemy zbyt wiele, poza tym, że był szlachcicem, nie tylko zaprzeczał wszystkim oskarżeniom, ale robił to z wyraźną ironią, jakby chciał pokazać, że całe postępowanie uważa za niepoważne.

Jeślim jest winny, to mnie powieście!

Tak kpił przed sądem Stanisław Starczowski. Była to odważna i niezbyt roztropna deklaracja. Starczowski nie odpowiadał bowiem za błahy spór sąsiedzki ani za kolejną awanturę przy karczemnym stole. Oskarżono go o napaść z bronią w ręku na znaną krakowską postać, jaką był Krzysztof Słowikowski oraz o znieważenie go słowami. Znieważenie, które – ze względu na pozycję Słowikowskiego w mieście - mogło zostać potraktowane jako zniewaga wymierzona w sam magistrat.

Wypowiedziane z przekąsem słowa miały świadczyć o jego pewności siebie. Szlachcic zaprzeczał wszystkim oskarżeniom i najwyraźniej nie wierzył, że proces może zakończyć się dla niego niekorzystnie, zwłaszcza, że pozycja szlachty była w tym czasie bardzo mocna. W pierwszej połowie XVII wieku szlachta stanowiła najbardziej uprzywilejowany stan Rzeczypospolitej. Jej przedstawiciele przywykli do tego, że w sporach z mieszczanami ich pozycja społeczna często działała na ich korzyść. Krakowski magistrat postanowił jednak pokazać, że są sytuacje, w których nawet szlacheckie

pochodzenie nie daje przewagi, a

krakowscy rajcy postanowili potraktować sprawę znacznie poważniej, niż przypuszczał Starczowski.

A że dodatkowo doszło do awantury na cmentarzu przy najważniejszym kościele Krakowa, sprawa nabrała zupełnie innego wymiaru.

Dzisiaj trudno wyobrazić sobie cmentarz jako miejsce codziennego życia. W XVII wieku wyglądało to inaczej. Cmentarz przy kościele Mariackim nie był jedynie miejscem pochówków. Spotykali się tam mieszkańcy, prowadzono rozmowy, zawierano umowy i przekazywano wiadomości. Jednocześnie pozostawał przestrzenią poświęconą, w której obowiązywały szczególne zasady, a wszczęcie tam awantury uznawano za naruszenie nie tylko porządku publicznego, ale także powagi miejsca. To właśnie dlatego w wyroku pojawiła się kara na rzecz kościoła Mariackiego.

Po rozpatrzeniu sprawy sąd uznał Stanisława Racibora Starczowskiego za winnego znieważenia Krzysztofa Słowikowskiego oraz zakłócenia porządku w miejscu świętym. Zapadł wyrok, który z dzisiejszej perspektywy może wydawać się umiarkowany. Szlachcic został skazany na trzy miesiące więzienia w zamku krakowskim. Znacznie większe znaczenie miały jednak pozostałe elementy orzeczenia.

Sąd nakazał mu publicznie przeprosić zarówno magistrat krakowski, jak i Krzysztofa Słowikowskiego. Zobowiązał go również do zapłacenia grzywny na rzecz kościoła Mariackiego. Kara miała wyraźny wymiar symboliczny. Grzywna była formą zadośćuczynienia za zakłócenie porządku w miejscu uznawanym za święte, natomiast publiczne przeprosiny miały przywrócić autorytet władz miasta i pokazać, że nawet szlachcic nie stoi ponad prawem.

Sąd zabezpieczył się także na wypadek, gdyby Starczowski odmówił wykonania wyroku. Zagrozili mu infamią. W dawnej Rzeczypospolitej nie oznaczała ona jedynie utraty dobrego imienia. Dla szlachcica była jedną z najdotkliwszych sankcji, ponieważ godziła w jego honor i pozycję społeczną, a honor należał do podstawowych wartości kultury sarmackiej, tymczasem infamis tracił cześć i wiarygodność. Zostawał wyłączony ze wspólnoty ludzi honorowych. Publiczne przyznanie racji przedstawicielowi magistratu oznaczało upokorzenie, którego nie sposób było ukryć. Władze Krakowa doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

Choć sprawa Stanisława Racibora Starczowskiego nie zakończyła się tak tragicznie jak wiele innych procesów prowadzonych przed krakowskim sądem, dobrze pokazuje napięcia między szlachtą a miejskim samorządem w pierwszej połowie XVII wieku. Magistrat nie ograniczył się do ukarania człowieka, który – jak uznał sąd – dopuścił się znieważenia rajcy. Wyrok miał również podkreślić, że naruszenie porządku publicznego, zwłaszcza w miejscu świętym, nie będzie tolerowane bez względu na społeczne pochodzenie sprawcy.

Dlatego sprawa ta pozostaje interesująca także po blisko czterystu latach. Nie opowiada o spektakularnej zbrodni ani o krwawej zemście. Pokazuje coś znacznie ciekawszego – moment, w którym sarmacka pewność siebie zderzyła się z miejskim wymiarem sprawiedliwości. Tym razem zwyciężyło prawo, a nie urodzenie. I właśnie to sprawiło, że zwykła awantura na cmentarzu Mariackim zapisała się w historii Krakowa.